

Wspomnienia do druku przygotowały, wstępem i przypisami opatrzyły
Danuta Kisielewicz i Agnieszka Misiurska

„I moja niewola się skończy...” Jenieckie wspomnienia kpr. Stanisława Kisielewicza – żołnierza Września 1939 r.

Stanisław Kisielewicz urodził się 28 stycznia 1911 r. w Zawoniu (dzisiejsza Ukraina: obwód lwowski, rejon sokalski) jako najstarszy syn Józefy z domu Kisilewicz i Franciszka Kisilewicza¹. Zawonie w czasach jego dzieciństwa było położonym wśród lasów, w zakolu Bugu, 60 km na północ od Lwowa, przysiółkiem wsi Sielec Bełzki. Dopiero w 1930 r. stało się samodzielną wsią². Ta mała miejscowość była swoistym ewenementem pogranicza Małopolski Wschodniej i Wołynia, gdyż zamieszkiwali ją wyłącznie Polacy, a znaczna większość jej mieszkańców nosiła nazwisko Kisilewicz. Wieś posiadała kaplicę, spółdzielczy sklep i czteroklasową szkołę powszechną³. Rodzice Stanisława mieszkali i pracowali w rodzinnym gospodarstwie rolnym Franciszki. Spokojne życie zmącił wybuch I wojny światowej i powołanie Franciszka do armii austriackiej. Służył w stopniu kaprała w armii cesarsko-królewskiej i został ranny w grudniu 1914 r. w walkach koło Tarnowa, a w styczniu 1915 r. zmarł⁴. Osierocił synów – Stanisława i Tadeusza (ur. 1914 r.). Kilka lat po stracie męża J. Kisilewicz ponownie wyszła za mąż za pochodzącego z sąsiedniej wsi Jastrzębica Franciszka Hołuba, z którego to związku urodzili się: Jadwiga, Władysław i Eugenia. W wieku 21 lat S. Kisielewicz został powołany do dwuletniej służby w 13. Dywizjonie Artylerii Konnej (DAK) w pobliskiej Kamionce Strumiłowej. Po odbyciu służby wojskowej powrócił do rodzinnego gospodarstwa. 11 lutego 1939 r. ożenił się z Marią Just, pochodzącą ze wsi Sielec Bełzki. Młodzi małżonkowie zamieszkali w rodzinnym domu matki Stanisława w Zawoniu.

Tuż przed wybuchem wojny, 26 sierpnia 1939 r. kpr. S. Kisielewicz otrzymał kartę mobilizacyjną do 13. DAK, stacjonującego we wspomnianej Kamionce Strumiłowej. Zmobilizowany został jednak we wsi w okolicy Brodów i przydzielony do 3. baterii, która zdolność bojową osiągnęła 30 sierpnia. We wrześniu 1939 r. dywizjon walczył w składzie artylerii konnej (cztery baterie) Kresowej Brygady

1 Do 1945 r. Kisielewicze z Zawonia używali nazwiska w odmiennej pisowni: Kisilewicz.

2 Rozporządzenie Ministra Spraw Wewnętrznych z dnia 25 III 1930 r. o utworzeniu gminy wiejskiej Zawonie w powiecie sokalskim, województwie lwowskim. Dziennik Ustaw 1930, nr 29, poz. 255.

3 D. Sula, *Z kart trudnej historii relacji polsko-niemiecko-ukraińskich w okresie II wojny światowej. Pacyfikacja wsi Zawonie 6 marca 1944 roku i losy jej mieszkańców w świetle relacji*. W: *Polacy – Niemcy – Ukraińcy w XIX i XX wieku. O przeszłości dla przyszłości w miejscach pamięci*, red. M. Białokur, Opole 2013, s. 46–72.

4 Verlustliste Nr. 88, Wien 30 XII 1914, s. 17; ibidem, Nr. 128, Wien 17 II 1915, s. 18.



Stanisław Kisielewicz (drugi z lewej) w okresie odbywania służby wojskowej w otoczeniu rodziny: matki – Józefy Hołub (pierwsza z prawej) i dziadka – Józefa Kisielewicza (trzeci z lewej) przed domem swojego wuja w Wolicy Komarowej, 1932–1934.
Źródło: Zbiory prywatne

Kawalerii (KBK). W dniu 1 września 3. bateria 13. DAK wyruszyła eszelonami dywizyjnymi do miejsca koncentracji KBK na prawym skrzydle Armii „Łódź”, która wiodła przez Radziwiłłów, Kowel, Brześć, Czeremchę, Siedlce, Warszawę, Kutno do miejscowości Szadek. Dywizjon wraz z KBK wszedł w skład Grupy Operacyjnej gen. bryg. Franciszka Dindorfa-Ankowicza, utworzonej wspólnie z 10. Dywizją Piechoty (DP)⁵.

Cztery baterie Dywizjonu (1., 2., 3. i 4.) przekroczyły rzekę 4 września i zajęły stanowiska na zachodnim skraju miejscowości Warta, gdzie stoczyły pierwszą walkę z niemieckimi oddziałami. Następnego dnia 3. bateria weszła do boju w rejonie miejscowości Glinno. Po stoczonej walce wobec groźby okrążenia dowódca KBK wydał rozkaz cofnięcia się w rejon Szadka w celu zorganizowania tam obrony. Podczas jazdy eszelon, a następnie stacja kolejowa Szadek zostały zbombardowane przez niemieckie samoloty, 3. bateria nie poniosła strat, gdyż żołnierze schronili się do lasu. Dywizjon przemaszerował 6 września za rzekę Ner, skąd następnego dnia nastąpił odwrót z linii Neru do lasu Emilia. 8 września 3. bateria 13. DAK skierowała się na Skierniewice, następnie obsadziła linię Mrogi w rejonie Głowna,

⁵ Ustaleń dotyczących udziału 13. Dywizjonu Artylerii Konnej dokonano na podstawie: P. Zarycki, *13 Dywizjon Artylerii Konnej*, Pruszków 1996, s. 3 i n. Zob. także J. Wróblewski, *Armia Łódź 1939*, Warszawa 1975.

tu zajęła stanowiska ogniowe i ostrzelała niemiecką 24. DP, w nocy przeszła do lasu w rejonie Chlebowa. 9 września 3. bateria wobec działań lotnictwa niemieckiego zatrzymała się na postój w lasach w rejonie Skierniewic. W nocy, kierując się na wschód, przeszła na wschodni brzeg rzeki Rawki, gdzie ponownie zatrzymała się na postój. Dowodzący 3. baterią płk dypl. Andrzej Kunachowicz nawiązał łączność z gen. bryg. Wiktorem Thommée, który podporządkował sobie resztki KBK, wydał rozkaz marszu w kierunku Warszawy. 11 września 3. bateria przekroczyła szosę Rawa Mazowiecka – Warszawa i zatrzymała się na postój w lesie koło Osuchowa. Tam doszło do czterogodzinnej walki z niemiecką piechotą, wspartą artylerią, po tej walce żołnierze 3. baterii zostali wzięci do niewoli⁶.

Kapral S. Kisielewicz dostał się do niewoli 11 września 1939 r. w miejscowości Dębiny Osuchowskie⁷. Otoczonych przez niemieckie oddziały polskich żołnierzy poddano rewizji, konfiskując ostre narzędzia i rzeczy osobiste. Stamtąd grupę jeńców poprowadzono do Piotrkowa i zapędzono do kościoła, gdzie przetrzymywano ich przez dwa dni. Wczesnym rankiem 13 września po przebyciu męczącego 20 km marszu, załadowano żołnierzy do samochodów i przez Tomaszów Lubelski przewieziono do Częstochowy, skąd transportem kolejowym pojechali do Stalagu VIII A Görlitz (Zgorzelec).

Stalag VIII A Görlitz był obozem zlokalizowanym na obszarze VIII Okręgu Wojskowego (OW) Wehrmachtu z siedzibą dowództwa w Breslau (Wrocław), w którym w latach 1939–1945 przetrzymywano żołnierzy szeregowych⁸. Obóz w Görlitz utworzono 26 sierpnia 1939 r. i funkcjonował do grudnia 1939 r. jako obóz przejściowy – dulag (*Durchgangslager für Kriegsgefangene*). Na 18 ha polu otoczonym drutem kolczastym rozbito 50 płóciennych namiotów. Pierwszy transport polskich żołnierzy przybył do obozu już 7 września 1939 r., a w końcu października więziono w nim ponad 10 tys. jeńców narodowości polskiej, litewskiej, białoruskiej, ukraińskiej, czeskiej i żydowskiej⁹. Faktycznie jednak obóz pełnił funkcje obozu przejściowego do 16 lipca 1940 r., tj. do przeniesienia jeńców na miejsce docelowe, do wybudowanych baraków w południowej części miasta Moys (obecnie Ujazd). Jeńców do stalagu przewożono w wagonach towarowych. Z dworca szli w zwartej kolumnie do obozu, obrzucani wyzwiskami przez oddziały Hitlerjugend i miejscową ludność. Po przekroczeniu obozu jeńców poddawano skrupulatnej rewizji, dezynfekcji, pozbawiano ich żołnierskich insygniów, golono im głowy i brody. Otrzymywali oni jenieckie numery identyfikacyjne i wpisywano ich do kartoteki.

6 Ibidem, s. 31.

7 Centralne Muzeum Jeńców Wojennych (dalej: CMJW), Wehrmachtauskunftsstelle für Kriegerverluste und Kriegsgefangene (dalej: WAST), Stalag VIII A Görlitz, sygn. 2819.

8 R. Kobylarz, K. Sznotala, *Wykaz niemieckich obozów jenieckich 1939–1945*, Opole 2010, s. 35.

9 J. Lusek, A. Goetze, *Stalag VIII A Görlitz. Historia – teraźniejszość – przyszłość*, „Łambinowski Rocznik Muzealny” (dalej: „LRM”) 2011, t. 34, s. 28–29; S. Senft, *Rozmieszczenie, liczebność i skład narodowościowy obozów jenieckich w VIII Okręgu Wojskowym Wehrmachtu podczas II wojny światowej*, „LRM” 1974, t. 1, s. 5–63.

Wziętych do niewoli jeńców jesienią 1939 r. ulokowano w ponumerowanych namiotach o wymiarach 35 m x 12 m, w których kwaterowano od 300 do 500 osób. Początkowo jeńcy spali na ziemi (czasem wyścielanej słomą) lub na deskach, później zaś na pryczach zaopatrzonych w sienniki i koce¹⁰.

Dla wielu przetrzymywanych Görlitz był obozem przejściowym, stanowił punkt przerzutowy w drodze do oddziałów roboczych lub do obozów stałych w głębi III Rzeszy. W 1940 r. w Görlitz zatrudniano już ponad 5 tys. jeńców oraz robotników przymusowych. Pracowali w administracji miejskiej (dbali o porządek na terenie miasta), w rolnictwie oraz w zakładach kooperujących z rolnictwem. Jenieckie komanda pracy liczyły około 20–50 jeńców, przeważnie tej samej narodowości. Pracodawca zobowiązany był do zapewnienia robotnikowi wyżywienia i ubrania roboczego z napisem KG (*Kriegsgefangener*). Po wykonaniu zadania komanda rozwiązywano, a jeńców z powrotem odsyłało do obozu macierzystego¹¹. Takie zasady stosowano też w obozach, które organizowały jenieckie komanda pracy.

Stanisław Kisielewicz z grupą żołnierzy 13. DAK osadzony został w stalagu Görlitz 15 września 1939 r. W bardzo trudnych warunkach przebywał tam przez cztery tygodnie. Dopiero po upływie tego czasu został zarejestrowany i wpisany do kartoteki. Otrzymał nr jeniecki – 10769/ St. VIII A. 10 października wywieziono go wraz z innymi jeńcami z obozu na roboty we wsi Gieberstho¹². Tam pracował w folwarku jako robotnik rolny. Wkrótce wyczerpanie działaniami wojennymi, trudne warunki pracy, zimno, głód, brak odpowiednich warunków higienicznych spowodowały, że ciężko zachorował. Skierowano go do stalagu, skąd został odwieziony do szpitala. Po dziesięciu dniach powrócił do obozu, ale zimne, nieogrzewane, wilgotne namioty nie sprzyjały rekonwalescencji i powrotowi do zdrowia. Aby się ratować, licząc na lepsze warunki bytowania, zgłosił chęć do pracy poza obozem. Jako jeniec podjął 12 grudnia pracę we wsi Gielschau¹³, gdzie wraz z dziewięcioma innymi robotnikami przymusowymi pracował „przy burakach”, a potem w kuźni. Pracę kowalską znał dobrze, gdyż czasem pomagał swemu teściowi, który był właścicielem kuźni w Sielcu Bełzkim oraz pracował w kuźni ojczyma Franciszka Hołuba.

Latem 1940 r. niemieckie władze obozowe w stalagu Görlitz namawiały jeńców na zmianę statusu – z jeńca wojennego na robotnika przymusowego. Jeńcy, którzy odmawiali zrzeczenia się statusu jeńca, karani byli wysłaniem do innego obozu. Namowom został również poddany bohater niniejszego szkicu, zarówno przez władze obozowe, jak i przez właściciela majątku rolnego, w którym pracował. Jednak odmówił, dlatego 16 czerwca 1940 r. znalazł się w transporcie tysiąca jeńców,

10 J. Lusek, A. Goetze, *op.cit.*, s. 28.

11 Ibidem, s. 43.

12 Niestety miejscowość jest trudna do zidentyfikowania, gdyż S. Kisielewicz wszelkie nazwy miejscowości zapisywał fonetycznie.

13 Również nazwa trudna do zidentyfikowania. Być może chodzi o wieś Sielschau bądź Gielschau.

przewiezionych kolejną do Stalagu XII A Limburg (w kraju związkowym Hesja), na terenie dowództwa XII OW ze stolicą w Wiesbaden. Po czterech dniach tę grupę jeńców przewieziono z Limburga do Stalagu XII B Frankenthal (w kraju związkowym Nadrenia – Palatynat). Obóz ten istniał od kwietnia 1940 do marca 1942 r.¹⁴. Po rejestracji w stalagu, jeńców porozwożono do jenieckich komand pracy.

Kapral S. Kisielewicz jako robotnik przymusowy znalazł się w jenieckim komandzie pracy nr 184 w Guntersblum (miejscowość o statusie gminy, w powiecie Mainz), gdzie dołączył do zatrudnionych już tam robotników w gospodarstwach rolnych. Pracował przy obrządki bydła i koni, w polu przy pracach siewnych, wykopkowych, załadunkowych, naprawiał narzędzia rolnicze, wykonywał inne wskazane przez gospodarzy prace. Właściciele, u których był zatrudniony mieli obowiązek zapewnienia mu wyżywienia. Racje żywnościowe, które mu przydzielano były niewystarczające, w dodatku złej jakości, więc był stale głodny. Cierpiał też z powodu uciążliwej pracy w niedziele i wszystkie święta kościelne, braku wiadomości z rodzinnego domu, możliwości uczestniczenia w uroczystościach kościelnych. Brakowało mu jakichkolwiek rozrywek, dokuczała samotność, choć nawiązał przyjacielskie relacje z jeńcami i robotnikami przymusowymi, z którymi mieszkał. Tęsknił bardzo za żoną, matką i rodzinnym domem. Wierzył, że niewola się kiedyś skończy i wróci do swego domu. Dotkliwym ciosem była dla niego spóźniona wiadomość, jaką otrzymał o śmierci matki, która zmarła w grudniu 1940 r. Martwił się również stanem zdrowia brata Tadeusza, który znajdował się w niewoli w Stalagu VI B Neu-Versen w północno-zachodnich Niemczech.

W stalagu Frankenthal S. Kisielewicz przetrzymywany był do końca 1941 r., zaś 31 grudnia został zwolniony z niewoli jako przymusowy robotnik cywilny (*Zum zivilarbeitsdienst entlassen*)¹⁵. Pracował w Guntersblum w gospodarstwie rolnym i przy uprawie winorośli Gintera Kissnera. Tam miał o wiele lepsze warunki.

Po wyzwoleniu Guntersblum przez armię amerykańską, był już jeńcem wojenny został powołany 15 października 1945 r. do służby w Polskich Siłach Zbrojnych (*Polish Armed Forces*) w Darmstadt w kompaniach wartowniczych, utworzonych przez armię amerykańską. Otrzymał legitymację byłego jeńcy wojennego – *Polish Armed Forces, Identity Card ex Prisoner of War*, w stopniu wojskowym kanoniera. Pełnił służbę do jesieni 1947 r.¹⁶.

W październiku 1947 r. powrócił do kraju. Nie dane mu było jednak wrócić w swe rodzinne strony, do domu znajdującego się na Kresach Wschodnich II Rzeczypospolitej. Wieś Zawonie, w której mieszkał już nie istniała – jako komórka Armii Krajowej została spacyfikowana w marcu 1944 r. przez żołnierzy niemieckich i żołnierzy ukraińskich z SS-Galizien za ukrywanie partyzantów radzieckich i Żydów. Część jej mieszkańców zginęła w czasie pacyfikacji lub osadzona została

14 R. Kobylarz, K. Sznotala, *op.cit.*, s. 38.

15 CMJW, WAsT., St. XII B Frankenthal, sygn. 3888, 3938.

16 Legitymacja znajduje się w zbiorach autorek.



Stanisław Kisielewicz (pierwszy z prawej) żołnierz Polskich Oddziałów Wartowniczych przy armii amerykańskiej, 1945–1946
Źródło: Zbiory prywatne

w obozach koncentracyjnych w Gross Rosen (Rogoźnica), Ravensbrück i innych miejscach odosobnienia. Ci, którzy uniknęli śmierci szukali schronienia na terenach okupowanej Polski¹⁷. Stanisław Kisielewicz odnalazł żonę w Słupsku, dokąd przybył w 1947 r., gdzie zamieszkali i spędzili resztę życia. Po wojnie jego rodzinne strony znalazły się w granicach ZSRS, a rodzina osiedliła się na terenie zachodniej i północnej Polski powojennej. Był jeniec wojenny, później żołnierz Polskich Sił Zbrojnych, służący w kompanii wartowniczej w amerykańskiej strefie okupacyjnej Niemiec, nie od razu mógł znaleźć pracę, która by go satysfakcjonowała. Mimo starań, nie zatrudniono go w fabryce maszyn rolniczych, więc po pół roku poszukiwań podjął pracę trakowego w słupskim tartaku. Stanisław Kisielewicz doczekał się potomstwa – syna Adama i córki Tekli. Zmarł w Słupsku 12 kwietnia 1974 r.

Stanisław Kisielewicz przywiózł z niewoli notes o wymiarach 10 x 16 cm, w którym od września 1939 do końca lipca 1941 r. spisywał osobiste przeżycia z walk wrześniowych, okoliczności wzięcia do niewoli, pobytu w stalagach i na jenieckich komandach pracy. Jako wykształcony wyłącznie w czteroklasowej szkole

¹⁷ D. Sula, *op.cit.*, s. 46–72.

powszechnej, w sposób prosty, często niegramatyczny, w kresowym rejestrze językowym, spisywał fakty i wydarzenia tak, jak je widział i oceniał, oraz swoje odczucia – to, co go smuciło, dziwiło i niepokoiło. Jego przeżycia bardzo często odnosiły się do wiary i religii, zwracał się do Boga o ocalenie życia i powrót do rodzinnych stron. Ufał, że niewola kiedyś się skończy i połączy się z rodziną. Tęsknił i czekał na wiadomości z domu. Pierwsze zapiski, dotyczące walk wrześniowych i początku niewoli powstały najprawdopodobniej w pewnej perspektywie czasowej, kolejne tworzył na bieżąco. Sam swoje zapiski (wspomnienia) nazwał „książką”, a na ich końcu wspominał, że tę przechowa i napisze drugą „książkę”. Nie wiadomo jednak, czy pisał w następnych latach, gdyż w rodzinnym archiwum nikt podobnego notesu nie odnalazł.

Przygotowując tekst do druku autorki pominęły niewielkie fragmenty wspomnień, które powtarzały się wielokrotnie i w dużej mierze odnosiły się do życia w rodzinnych stronach. Dla lepszej percepcji zapisu przez przyszłych czytelników, do niektórych faktów i wydarzeń czy określeń załączone zostały przypisy wyjaśniające. Zastosowano również współczesną pisownię oraz poprawiono błędy ortograficzne i interpunkcyjne. Podtytuły zostały nadane przez autorki.

Kpr. Stanisław Kisielewicz

Wrzesień 1939 roku

Dnia 28 sierpnia 1939 rok, jak odjechałem z domu to nie wiem, jak tam zostało, tak wszystko zostawiłem i nie wiem, co tam się dzieje. Pierwszego dnia, jak zajechałem, to zameldowałem się w Pułku [13. Dywizjonu Artylerii Konnej w Kamionce Strumiłowej – przyp. D.K. i A.M.], później zostałem przydzielony do baterii trzeciej i wieczorem dostałem umundurowanie. Później przespałem się pod krzakiem. Na drugi dzień dostałem konie, karabin, znaczek śmiertelny [nieśmiertelny – przyp. A.M i D.K.] i opatrunek i tylko czekałem na rozkaz.

Dnia 1 września raniutko nastąpił odmarsz, załadowanie do pociągu i wyjechaliśmy z Brodów o godzinie dziesiątej i jechaliśmy przez Dubno, Równe i Kowel, z Kowla do Warszawy, później z Warszawy w kierunku Poznania. Tam nie można było dojechać, bo tory były już rozbite i jechaliśmy obok Skarżyska i tam się wyładowaliśmy na małej stacji w lesie. To było 3 września około godziny drugiej. Tam szło wszystko tak szybko, że każdy wyglądał jak z wody wylał i zaraz wszystko do lasu. Odjechaliśmy z kilometr od stacji, a tu patrzymy, lecą 23 samoloty niemieckie i tam na tej stacji przewrócili tak, że nie chciałem wierzyć, co tam się stało, tam tylko jamy i kupa gruzu.

Później pojechaliśmy dalej w kierunku frontu i jechaliśmy przez całą noc i zajechaliśmy na rano do miasteczka Warta. Tam rozpoczęła się pierwsza bitwa i trwała do godziny około jedenastej i później, jak trzeba było się cofać, to zobaczyłem już

„I moja niewola się skończy...”

parę trupów. Później jechaliśmy do tyłu i po trochę zatrzymywaliśmy się, a tu stale samoloty grają nad głową i tak przyszła noc. W nocy o spaniu nie ma co myśleć i zaczęliśmy maszerować w innym kierunku. Tam znów co innego, na drodze pełno ludzi cywilnych, kobiet i dzieci, wszystko ucieka z domu, pełno płaczu i lamentu. I tak sobie pomyślałem, że i może w domu się to samo dzieje, ale dalej przyjechaliśmy na rano do jednej wioski i zobaczyłem z daleka, cała wioska w ogniu od bomb. I patrzę dalej, ilu tam ludzi leży po drogach, pozabijanych kobiet, dzieci, koni i bydła tak, że wprost nie mogłem się patrzeć i tak stałe. W dzień się po trochę „upierało”, a w nocy to się stałe maszerowało. Gdzie się zajechało do wioski czy do miasta, to nie ma nikogo i nie ma co dostać, ani jeść, ani zapalić i tak się żyło – każdy na swoją rękę.

Dnia 7 września przerwaliśmy linię [Neru – przyp. D.K. i A.M.] i poszliśmy trochę naprzód, tak że z 7 na 8 w nocy nas okrążono dookoła. I znów całą noc bez przerwy marsz i marsz, aż o 8 rano była krótka przerwa i to w lesie. Każdy z nas jest głodny i niewyspany. Tam postaliśmy ze dwie godziny i dalej w drogę, pomimo wszystkiego i znów to samo, tylko jamy i gruzy.

9 września rano napotykałem ponad drogą różne rzeczy, połamane wozy i samochody i też samoloty, trochę domów rozbitych. I tam się trochę zatrzymali¹⁸. Każdy zaraz szukał za jedzeniem. Ja sobie narwałem trochę jabłek i musiałem tam odbyć wszystko.

Później zajechaliśmy do lasu¹⁹ i tam się trochę położyłem pod drzewem i przysnęło się mi, że w domu wszystko w porządku, tylko moja Manusia jest ciężko chora i nie chciałem wierzyć, tylko pomyślałem, że w tej chwili ktoś o mnie pomyślał w domu. No i dalej marsz, aż tu zaczęła zaraz bić artyleria niemiecka i karabiny maszynowe, tak zdawało się, że się świat wali. Pomimo wszystkiego, każdy ratuje swoje życie, no i jakoś udało nam się uciec. No i znów przez całą noc aż do rana.

Rano zatrzymaliśmy się na jednym folwarku, to tylko został jeden dom, a to wszystko spalone i pełno jam i pełno trupów. Tam znów rozpoczęła się walka taka, że na śmierć i życie. Padło trochę naszych kolegów. I tak trwała przez cały dzień, aż nastąpił poniedziałek 11 września – dzień nieszczęśliwy i rozpoczęła się nowa rzeźnia. I tak nas obścapił naokoło, że nie było wyjścia i my się tak trzymaliśmy do ostatniej chwili²⁰. Padło naszych dość ludzi. No i tak samo położył swoją głowę mój kolega Węglasz z Gruszowa, byłem świadkiem naocznym. No i tak około godziny drugiej dostałem się do niewoli i przechodziłem po tych trupach i wiele tam było płaczu i jęku. Jeden prosi, ażeby go zabrać, inny zaś prosi, ażeby go dobić, ażeby się nie męczył. No i zanim nas pozbierali wszystkich, to może była czwarta część.

I tak nas wyprowadzili na pole i pozabierali od każdego rzeczy, jak nóż, brzytwa, zapalniczkę. Poprowadzili nas do Piotrkowa i zapędzili do kościoła i wszyscy

18 3. bateria 13. DAK zatrzymała się na postój w lasach w rejonie Skierniewic.

19 W rejonie Osuchowa.

20 W lasach na zachód od Osuchowa rozegrała się czterogodzinna walka z niemiecką piechotą, wspartą artylerią. 3. bateria poniosła w tej bitwie spore straty.

musieli tam spać dwa dni i tam nas żywili tylko cywile. 13 września rano była zbiórka i dalej odmarsz w kierunku na zachód. Tak szliśmy około 20 kilometrów. Później załadowali nas na auta i wieźli przez Tomaszów, Łódź aż do Częstochowy. Tam nas znów zaprowadzili do koszar i wszystkich postawili pod ścianą. Tu myślałem, że trzeba się będzie pożegnać ze światem, ale jakoś to przeszło. Tylko w straszny sposób mścili się nad Żydami, bili ich i kłuli bagnetami, był płacz i lament, że aż włosy stawały na głowie. Każdy z nas się tego spodziewał, ale jakoś zaprowadzili do środka i kazali spać. Każdy położył się tak jak mógł.

Na drugi dzień wstałem i nie wiem, co będzie. I tak każdy się kręci. Na dwór wyjść nie wolno i każdy czeka, jak Bożego zmiłowania, a o jedzeniu nie wspomni. Dopiero wieczorem przyniósł jeden żołnierz niemiecki w worku trochę okruszyn z kawałków chleba, to się wszystko rzuciło, co kto mógł to łapał, bo każdy był głodny jak pies. I tak zatem musiało się dziać. Dnia 15 września wieczorem dali nam po pół chleba i to taki zielony, jak trawa. I odmarsz do pociągu. Tam nas załadowali do wagonów i pozamykali jak bydło.

„Wszyscy pokutujemy za Ojczyznę” – jeniec Stalagu VIII A Görlitz

Wieczorem około godziny dziesiątej nastąpił odjazd w kierunku na zachód. Tak na drugi dzień około godziny jedenastej kazali nam wysiadać. To miasto nazywało się Görlitz. Kiedyśmy szli przez miasto, a obok nas postawiono naród cywilny, który patrzył na nas jak na jakich bandytów, ale jednak trzeba było i to przyjąć, każdego z nas tylko wiatr kołysał i tak przeszliśmy przez miasto. Tam za miastem na polu były porozstawiane tylko namioty i tam pod tymi celtami [namiotami – przyp. D.K. i A.M.] wszystko musiało spać w nocy. Jak wszedł deszcz, to woda stawała. Dali nam trochę słomy i po jednym kocu, można było sobie wyobrazić, jakie to będzie życie. Naokoło ogrodzono drutem tak, że nawet ptaszek nie doleci. I tak nikt nie wie, jak długo nas będą tu trzymali.

Wikt nam dawali taki, ażeby tylko żył, dziennie jedna czwarta chleba i rano kawy takiej jak woda, tylko że trochę czarna, na obiad zupa – tylko jedenaście łyżek i pół kartofla, wieczorem znów kawa. I tak my tam przebywali cztery tygodnie, wyglądałem jak trup, wprost nie mogłem już chodzić, broda dość długa, bo przez ten czas to się nie goliłem – wprost nie do poznania. Ażeby kupić chleba albo tytoniu to trzeba było zapłacić tak, że kiedyś w domu można było kupić parę dobrych butów.

Dopiero czwartego tygodnia wszystkich nas spisali i każdemu wydali numer i wyprowadzali na roboty. Każdy się rwał, ażeby się trochę pożywić. Ja także się zapisałem i pojechałem z kolegami do jednej wioski, która się nazywała Giebersthorf. Było to około 10 października. Zajechaliśmy tam w sobotę przed południem, tam dostaliśmy już obiad, później każdy narychtował sobie spanie i tak do wieczora. Na drugi dzień odpoczynek, aż dopiero w poniedziałek poszliśmy do roboty. Poszło nas trochę do folwarku i tam się poczułem trochę lepiej na siłach. Trzeba było robić,

ale dostałem coś zjeść i zapaliłem, a to całkiem inaczej. I tak tu spędzałem dzień za dniem. Pisać nam nie było wolno, tylko jak nastała niedziela to można było pójść do kościoła i właśnie też chodziłem. Prawda, że tam się prawie wszystko tak jak i u nas odprawia, tylko że nauka to po niemiecku. Ta jednak chwila to była dla mnie radosna, zdawało się mnie, jakbym był w swoim kościele.

Ale nadchodzi dzień Wszystkich Świętych, to jednak musieliśmy iść do roboty i tam mówiliśmy sobie na polu, że dzisiaj jest wszędzie dużo płaczu. Ileż to matek będzie płakało za swoimi dziećmi, tak samo żon za mężami, a dzieci za ojcami. Tak i ty moja Kochana²¹ zmartwienia miałas dość dużo. W takim położeniu, w jakim ty przechodzisz, niech Pan Bóg broni. Ja wszystko odczuwam, dopiero matkę pochowałaś jednego dnia, zaraz na drugi dzień i mnie wyprowadziłaś jak na tamten świat i zostałaś sama tak jak palec. Ale jeszcze Ten nad nami to nie da nam zginąć i może się znów zejdziemy razem, tylko nie wiadomo kiedy.

Tak dalej spędzam swoje życie. Z końcem listopada zachorowałem i odjechałem znów do lagru. Tam byłem tylko jeden dzień i pojechałem do szpitala i przebywałem tam przez dziesięć dni. Ze szpitala napisałem już trzeci list i w tym liście życzyłem wam wesołych świąt. Jak zostałem wypisany ze szpitala, to znów z powrotem do lagru i co tam zastałem, tylko celty i trochę ludzi. Trzeba było spać w namiotach, a tu mróz dokuczał, bo nawet sięgało do czternastu stopni. Wieczorem trudno się położyć do spania, a rano znów trudno się ubrać i ozuć i nie ma się gdzie zagrzać. Widzę, że tu nie ma wyjścia i zapisałem się znów na roboty. Wyjechałem 12 grudnia i zjechałem do jednej wioski, która się nazywała Gielschau. Tam zastałem już dziewięciu takich samych jak ja, trochę robiłem koło buraków, a potem trzeba było kowala, to zgłosiłem się jako majster i zaraz poszedłem do kuźni do roboty, tam mnie było trochę lepiej, to czy mróz czy śnieg, to ja byłem schowany.

No i zbliżają się święta Bożego Narodzenia. W Wigilię, to było w niedzielę rano, się ogoliłem, później wyprałem sobie bieliznę i naprawiłem buty. Wieczorem dostaliśmy kolację, nawet możliwą, jak dla niewolników, to można powiedzieć, że nawet bardzo dobrą, po paczce tytoniu i dwie paczki papierosów. Przy kolacji jeden z najstarszych spośród nas wziął jedno jabłko i rozkroił na dziesięć części i podzielił się z nami, przemówił parę słów, po których każdy nawet zapłakał. Później chwila milczenia i kolacja. Po kolacji trochę śpiewaliśmy kolędy, a potem jedni grali w karty, a inni poszli spać. Na drugi dzień poszliśmy wszyscy do kościoła. Byliśmy na Mszy św. i z powrotem na obiad, i tak się święta spędziło. Niejeden mówił, jak je spędzał w roku zesłłym.

Tak i zbliża się Nowy Rok. Z rankiem każdy winszuje Nowego Roku i powiada, ażeby w przyszłym roku każdy był już w swoim domu i tylko wspomniał swoich towarzyszy niewoli. I tak się ciągnie dzień za dniem.

Mija tydzień i miesiąc, aż nadchodzi dzień moich urodzin. Pomyślałem sobie,

²¹ Stanisław Kisielewicz zwraca się tu, jak i wielokrotnie na kartach tychże wspomnień, do swojej żony Marii.

za kogo ja tak pokutuję, żebym był kaleką to na pewno mnie by tu nie było, może kiedy na starsze lata będzie mnie lepiej. Tak samo zbliża się rok [od] mojego ślubu, kiedy myśmy się złączyli, kiedy były nasze najprzyjemniejsze lata i pora do życia, a nas tak rozłączyli. Ty jesteś w domu, a ja daleko w innym kraju, inni ludzie i inna mowa. Ale cóż, z losem muszę się zgodzić i nie ma nic bez końca i moja niewola się skończy. Nie jestem sam, a jest nas tu tysiące i wszyscy pragną tego samego, co i ja. Teraz najgorzej mnie gnębi, jak tam jest w domu, bo jak słyszałem, że tam strasznie mścili się Ukraińcy nad narodem polskim i tak ja sobie myślałem, że musieli palić i mordować Polaków. Czekam dalej i piszę listy i tak samo kartki, ale nie ma żadnej odpowiedzi.

Tak mija i zima, i nastają wiosenne dni, jeszcze gorzej mnie się robi, kiedy przyjdzie niedziela, to o mało nie zwariuję, czego ja się tu tak męczę. No i nadchodzą Święta Wielkanocne. Rano w ten dzień zawsze się spieszyłem rano do kościoła na Rezurekcję, a tu muszę siedzieć jak najgorszy Łazarz. W drugi dzień świąt w tamtym roku byłem w Sielcu u swego Teścia, teraz nastąpiła taka wielka zmiana. Pierwsze, że Teściowa już z Bogiem spoczywa, drugie, nie wiem czy szwagrowie żyją, teraz ja jestem też daleko. Tadzio²² nie wiem, czy żyje. Może [jak] to się kiedyś pozbiera, ale nie wszystko, to będzie miał każdy co opowiadać, swoje przeżycia. Pomimo wszystko, trzeba robić dalej, inni jednak martwią się, nawet dość dużo, inni zaś nic sobie nie robią z tego, ja zdałem się na wolę Bożą.

Nareszcie dochodzi do nas wiadomość, że jest już powiedziane, że polscy jeńcy wojenni mają być zwolnieni do domu, ale ja w to jakoś nie chciałem uwierzyć. Tamten właściciel powiada mnie, żebym nie jechał do domu, tylko żebym został u niego jako cywil i że będzie mnie dobrze płacić. Ja sobie pomyślałem, że nie chcę jego pieniędzy i żeby mi dawał swego pół majątku, to do domu jadę.

Nareszcie nadszedł ten dzień 16 czerwca 1940 r. kiedy odjechalśmy z Gielschau. To że na zawsze, zaopatrzyłem się na drogę w chleb i tytoń. Tymczasem zajechaliśmy do stalagu Görnitz, zaprowadzili nas do łaźni, tam nas ostrzygli i wykąпали, później wieczorem zaprowadzili do baraków. Tam spaliśmy tylko na deskach. Na drugi dzień przeprowadzili rewizję i pozabierali od niektórych brzytwy i pieniądze niemieckie i wiele innych rzeczy. Tam przebywaliśmy przez dziesięć dni, wikt tam był taki, że w domu to pies by nie chciał tego jeść, a ja musiałem. Początkowo to miałem trochę zapasu, to się „nie patrzyłem”, a później to głód mi doskwierał. Dziesiątego dnia [pobytu w stalagu] raniutko nas zabrali, jeden tysiąc [jeńców] na transport i do stacji kolejowej. Każdy był tej myśli, że jedzie do domu, aż tu odjazd znów w kierunku na zachód. Tak jechaliśmy całą dobę aż do Limburga, tam zaprowadzili nas znów do lagru²³, tam byliśmy przez cztery dni i znów jedziemy „na roboty”.

22 Tadeusz Kisielewicz – starszy brat Stanisława, nauczyciel, w niemieckiej niewoli przetrzymywany był w Stalagu VI B Neu-Versen w północno-zachodnich Niemczech.

23 Jeńców zatrzymano w Stalagu XII A Limburg an der Lahn w Hesji.

W jenieckim komandzie pracy Stalagu XII B Frankenthal

Dojechaliśmy do miasteczka²⁴, tam czekaliśmy przez cały dzień, później wieczorem odjazd aż na miejsce do Guntersblum. Tam dołączyliśmy do innych i tam poprowadzili nas po gospodarstwach, robota jak zwykle na roli. W tym czasie dostałem wiadomość z domu, cieszyłem się bardzo, że wszyscy żyją. Czułem się bardzo dobrze, jednak zacząłem bardzo tęsknić za domem, za swoją Manią kochaną i za tym czasem ślicznym, że się tak marnuję i że ja miałem się czegoś dorobić, a to się tak wszystko marnuje. Ażeby jeszcze zdrowie było, to się o wszystko postaram. Tak się zbliża też uroczystość Marii Magdaleny, to jest odpust w Zawoniu. Tak ja muszę robić jak koń, a Ty może nie masz kawałka chleba. W tamtym roku sprawialiśmy tak zwany prazdnik²⁵, czułem się bardzo szczęśliwy, kiedy brałem tam udział w kaplicy i służyłem do mszy św., a później w domu była uczta, była twoja Matka a moja teściowa, tak samo i Wujciu²⁶ i Tadzio. Po przyjęciu wieczorem byliśmy na zabawie i bawiliśmy się, tylko za prędko poszliśmy do domu. To była nasza ostatnia zabawa, jednak ja Ciebie zawsze słuchałem, a teraz mnie się zdaje, że jak wrócę do domu to i sto razy więcej będę Cię słuchał i szanował, boś ty dla mnie jesteś tylko jedyną pociechą i bym wszystko dla Ciebie poświęcił, ażeby tylko wrócić szczęśliwie do domu. Teraz muszę do jakiegoś czasu pokutować, ale to się kiedyś skończy. Na tym kończę dzisiaj pisanie, dnia 21 VII 1940.

Tu pracuję na roli, a przeważnie koło winogron, bo tu uprawiają bardzo dużo i tak stale chodzę z takim „starym Piłatem”, tak że on mnie nie rozumie, a ja jego, ale się pcha ażeby dalej. U nas są już żniwa, a tu jeszcze wcale nie myślą o żniwach, zboże już szcerniało i poopadało. Powiadają, że oni mają zapas na pięć lat, ale jednak się obawiają żeby nie przegrali [wojny]. Wikt mam nawet bardzo dobry, wina piję dziennie prawie więcej jak litr, tylko się nie mogę pogodzić z tym, że oni robią w niedzielę, ja z nich śmieję się, że u nas tylko Żydzi robią w niedzielę, a oni tego strasznie nie lubią.

No i nastała niedziela 28 lipca, z rana jak zwykle obrządek koło bydła i koni, później się ogoliłem i obmyłem, a oni mi każą, ażebym kosy wyklepał. Ja im powiedziałem, że jest jutro dzień do roboty, a dzisiaj jest święto i przypomniałem sobie, że to dzisiaj już jedenaście miesięcy minie, jak opuściłem swój dom rodzinny. Tak i ty moja kochana ostatni raz mnie wyprowadziłaś ze łzami w oczach, tej myśli, że może mnie już nigdy nie zobaczysz. Matka też dość rozpaczy miała, bo jak pomyśleć o tym, że pierw wyprowadziła swego męża, a mego ojca, który zginął marnie, że nikt nie wie gdzie, że może ktoś by poszedł na grób i się czasem pomodlił. Teraz

²⁴ Miasteczko, do którego przeniesiono kpr. S. Kisielewicza, nazywało się Frankenthal. Został on skierowany do Stalagu XII B Frankenthal w Palatynacie i jako robotnik przymusowy o statusie jeńca wojennego, pracował na komandzie pracy nr 184.

²⁵ Prazdnik – dzień świąteczny.

²⁶ Brat matki – Władysław Kisilewicz.

dochowała się synów, tak że powinno być lepiej na stare lata, ale też poszli tą samą drogą, tylko że jesteśmy przy zdrowiu. Jednak rozpacz wielka w sercu matki.

Z rana zapisałem sobie do notesu, później poszedłem do kolegi i tam przesiedziałem całe popołudnie. Tylko jedna mowa o domu i swoich ludziach, tam się opowiadało swoje czasy kawalerskie, jak się spędzało czas, a teraz pokuta na czas nieograniczony. Tak się spędza dzień za dniem. Przez cały tydzień robi się w polu, a jak przyjdzie niedziela to inni robią w polu, ja zaś powiedziałem że w niedzielę pracować nie będę. Z rana robię porządek koło bydła i koni, a później koło siebie. Bardzo to mnie się źle przedstawia, że w niedzielę dzwonią do Kościoła, a tu jednak idę i jadę w pole, jak to można się z tym pogodzić? Ja byłem nauczony, że jak święto czy też niedziela, to się nic nie robi. No cóż robić, kiedy trzeba się z tym pogodzić.

Jest dzień 4 sierpnia 1940 r. kiedy ja siedzę przy stoliku na dworze i tak sobie myślę, kiedy przyjdzie ten dzień, ta radosna chwila, żebym ja wrócił do swego domu rodzinnego, to tak jakbym się drugi raz na świat narodził, kiedy by mnie tam przywitali, no i ja czułbym się bardzo szczęśliwy. Tylko żebym zastał swoją matkę, żonę, braci i siostry, tak jak wszystko zostawiłem. Ale wiem, że wszystko się zmieni, Gienia²⁷ mnie nie pozna, no i ja tak samo może bym ją nie poznał, bo trochę wyrośnie, a ja się postarzeję. Tak zejdą moje lata młode. Żebym mógł, to bym się poświęcił pójść na piechotę, ale raz, że to daleko, a po drugie, że w drodze jak złapią to będzie o wiele gorzej.

Ja pomimo tego wszystkiego, kiedy się kładę spać i jak wstaję, to zawsze zmówię pacierz, ażebym wrócił szczęśliwie do domu. Jak patrzę tutaj na tych ludzi, a zwłaszcza na młodzież, to się wprost napatrzeć nie mogę, że i ja tak samo powinienem żyć. Gdybym miał żonę taką jak mają inni, że jedno drugiego nie lubi i stale się kłóć, toby mnie nie było żal. Ale przez ten czas jakeśmy byli razem, to ja się nigdy nie rozgniewałem i tak samo Ty. Mnie zdaje się, że inaczej być nie może, bo jednak przyrzekliśmy sobie, że mamy żyć razem aż do śmierci.

Ja to dopiero rozpocząłem żniwa, można sobie wyobrazić, jak to zboże wygląda, u nas to już dawno po żniwach, widać jacy tu są gospodarze, ale pomimo tego i tak muszę się męczyć i tu nie jestem pewny swego życia, tak jak w domu. Coraz częściej odwiedzają nocami te okolice samoloty angielskie, że spać nie można i zrzucają tam bomby.

Tak się rozpoczyna jesień, to już prawie że będzie rok, tak i święto przypadało „na Zielnej”, jak się chodziło na odpust do Mostów, a ja muszę tu robić. Jak sobie przypomnę, jak to było parę lat wstecz, powodziło mi się nawet bardzo dobrze, aniżeli dzisiaj. Trudno, nic temu nie poradzę, może i kiedyś wyrwę się z tego piekła. Choć nie wiem, jak będzie później, ale w każdym razie lepiej niż tu. Pomyślałem, że jak wrócę kiedyś do domu, co będzie wart stary, łysy, może i nawet niezdolny do pracy? Ale pomimo tego, chcę dostać to, czego tak bardzo pragnę. Może znów

27 Siostra Eugenia.

wyjdę na tę drogę i znów się moja dola polepszy i prowadził będę życie takie, jak Bóg przykazał. Tu gdzie jestem, to stale się kłócą, stary z synem i pytają mnie, czy u nas jest tak samo, ja im mówię, że u nas to całkiem inaczej. Zawsze lepiej swoje chwalić. Gdy jedziemy w pole do roboty, to ja prawie zawsze za furmana. Można sobie wyobrazić, jako to wygląda, kiedy jadę jednym koniem i bykiem, to na pewno byście się od śmiechu nie powstrzymali, gdybyście tak zobaczyli, u nas tego nie widać i dlatego dziwnym by się to wydawało.

Tymczasem nadszedł ten dzień, który był dla nas tak bardzo ważny, którego Twoja Matka już po raz ostatni nas odwiedziła i miała przeczucie, że już się w krótkim czasie wybierze w drogę do tego miejsca, które każdego z nas czeka. Może o wiele lepiej zrobiła, bo się nie musi tak męczyć, jak my. Ile by to miała zmartwienia w takim czasie, kiedy by się patrzyła, że jej dzieci poszły tak jak na rzeź i muszą się tułać po świecie. Ojciec to jest zawsze twardszy i pogodzi się z losem, no bo już to przechodził i widział jak to wygląda, choć go też serce boli, ale jednak tak nie rozpacza, jak matka. Najpierw poszedł Jasiu, później Franek²⁸, tak że Matka wpadła w rozpacz i z tego żalu nie mogła wytrzymać.

Tego wieczora kiedyśmy się wybrali na odpust do Bełza, tośmy zaszli wieczorem do Sielca i tam ostatni już raz narozmawiałem się. Na drugi dzień raniutko Matka była nieprzytomna, nic już nie mówiła. Pomimo tego zmartwienia, idę tam, gdzie się ofiarowałem i tak zrobiłem, jak się powinno zachować na odpuscie, najpierw poszedłem do spowiedzi, później do Komunii św. i wysłuchałem Mszy św. Po tym wszystkim wybrałem się do domu. Chwilę zatrzymałem się i później dalej w drogę. Nie dojechałem jeszcze do domu swego Teścia, jak dowiedziałem się, że Matka już nie żyje i tak ją Bóg powołał do siebie. Bardzo ważny i pamiętny dzień – 26 sierpnia, kiedy się Matka rozstała z tym światem i poszła do Królestwa na spoczynek wieczny i teraz jest już spokojna, nie ma żadnych kłopotów i tylko patrzy, jak ją dzieci kochały za życia i jak płaczą i żałują nad jej ciałem. Kiedy wszedłem na podwórze i Tyś mnie zobaczyła i powiedziała z płaczem: „Staszku, Mamy już nie mamy”. Żal mi się zrobiło, ale cóż zrobić, inaczej być nie może. Tak wszyscy ubolewali przez całą noc.

Na drugi dzień około godziny trzeciej, jak wróciliśmy z pogrzebu, to chciałaś zostać w domu, ale może dobrze zrobiłem, że Cię zabrałem ze sobą, bo jakbym Cię zostawił, to bym się z Tobą nie pożegnał. Kiedy wróciłem do domu, to miałem jakieś przeczucie, że już muszę się z Tobą rozstać. Wtem przychodzi wiadomość, że się muszę wybrać z domu. To była ostania noc, Tyś prawie całą noc nie spała i się martwiła, jak to będzie. Na drugi dzień rano, kiedy mnie zakładałaś na szyję medalik, to Ci się może zdawało, że to już po raz ostatni. Później pożegnałem się z moimi sąsiadami i prosiłem ich o przebaczenie. Tak dziś już rok. Później pożegnałem się ze swoją Matką i Ojczymem [Władysławem Hołubem], no i z Gienią i ze łzami w oczach wychodziłem z domu. Tak mnie moja Maniu odprowadziłaś na

28 Jan i Franciszek Justowie – bracia Marii Kisielewicz, szwagrowie Stanisława.

stację z Jadwisią [przyrodnią siostrą] i tam się już pożegnaliśmy. Może na zawsze, ale może się doczekamy tego, że się też przywitamy i będziemy płakać z radości, tylko żeby Pan Bóg dał zdrowie i cierpliwość, to się wszystkiego doczekamy, może i moja niewola się skończy, tylko kiedy – nie wiem.

Jak tu jestem, muszę robić we święta, pierwszy raz musiałem robić we Wszystkich Świętych na polu przy burakach, drugi raz 8 grudnia na Niepokalanej Poczęcia [Najświętszej Marii Panny] przy murarzach na budowie, trzeci raz na Trzech Króli wyrzucałem gnój ze stajni, czwarty na Gromnicznej to robiłem w kuźni, piąty na Boże Ciało to orałem w polu, a później to znów w kuźni, szósty to byłem w lagrze i tak się kręciłem w głodzie, siódmy, na Zielnej [Wniebowzięcie Najświętszej Marii Panny] to przez cały dzień wiązałem jęczmień. W takie święta musiałem pracować jak koń, a nie ma się komu poskarżyć.

Tak minął rok, a teraz zaczyna się drugi i znów dalej i nie widać końca. Ludność cywilna stale nas pociesza, że wkrótce pojedziemy do domu, ale to się już parę razy jechało i dalej jesteśmy na miejscu. Właśnie z tego domu, gdzie pracuję odchodził 1 września syn tego gospodarza i widzę, jak też jego żona rozpaczała, bo zostawił dwoje dzieci. Pomyślałem sobie, że rok temu ja tak samo też zrobiłem. Rozumiem, co to znaczy rozłączyć się, to bardzo przykre, ale trudno, taki los człowieka, inaczej być nie może. Ja mu tłumaczyłem, że i też tak zrobiłem, ale to się skończy i znów wróci do swego domu, a ja do swego. Ja rozumiem, co to znaczy wojna, a on bardzo mało i stale go pocieszałem. W duchu pomyślałem, że nie tak prędko, kiedy widzę, co się dzieje na świecie, to się mnie zdaje, że wojna nie tak prędko się skończy.

„Gdzie słońce wschodzi, tam moi ludzie, tam moja pociecha”

Droga Maniusiu, ja bym tak pragnął z całego serca dostać się do Ciebie, w Twoje strony, kiedy Ty mnie tak już długo wyglądasz – może to dziś, a może jutro, a może za tydzień przyjdzie. Nie wiesz, kiedy ja wrócę. Tak nas Pan Bóg pokarał i musimy pokutować do jakiegoś czasu. Ja tak pragnę do domu, do Ciebie, z Tobą się uściskać i dalej się cieszyć Tobą, ale może te myśli mnie całkiem zawiodą. Ale przecież to czas bardzo długi, wszystko się zmienia i nastanie co innego, ileż to już zastanie się w ciemnej mogile, których ja tak pragnę oglądać i stale ich mam na myśli. Kiedy się popatrzy na te strony, gdzie słońce wschodzi, zawsze sobie pomyślę, tam moja strona, tam moi ludzie, tam moja pociecha i tam bym chciał choć swoją głowę położyć.

Dziś jest święto podwójne – niedziela i święto Matki Boskiej Siewnej. Wspominałem sobie te lata, tamtego roku i jeszcze wstecz, to aż zapłakałem z żalu, co Ty tam moja Kochana robisz i może też zalewasz się łzami. Tak mi jest przykro, że nie mogę porozumieć się z domem, nie mam żadnej wiadomości z domu, oprócz tej jednej kartki, ale to całkiem za mało, ona była pisana jeszcze w marcu, a teraz jest już wrzesień. Taki kawał czasu, prawie więcej jak pół roku, to mogą być wielkie zmiany,

a najwięcej mnie chodzi o dom i Wasze zdrowie. Ja tak wyglądam tej wiadomości z domu, jak Bożego zmiłowania. Może Wy z tego nie zdajecie sobie sprawy, co to znaczy parę słów od swoich ludzi, tak od matki, jak i od żony, czy też brata i siostry. Ja przy tym nie zdawałem sobie sprawy, kiedy nie raz do mnie Matka mówiła, że jest mi dobrze, a ja się z tego śmiałem, a teraz się przekonałem, że to prawda i trzeba starszych słuchać [...].

22 września byłem na mszy świętej, która się odbywała w Sali, gdzie wszyscy śpimy, jak się popatrzyłem na to wszystko, to aż zapłakałem z żalu, że i tego jest tu za mało, i to tak ukradkiem się odbyło, ażeby nikt nie widział, nie tak jak u nas – wszystko jawnie i głośno. Teraz to ja nie wiem, jak tam jest, bo jak wiadomo, w Rosji to są zlikwidowane kościoły, to może też u Was tak samo. Pomimo wszystko, ja od swojej wiary nie odstępuję, zawsze mi staje przed oczyma ta nasza kapliczka, do której zawsze chodziłem i mam nadzieję, że ją oglądać będę.

Tak sobie wspominałem, jak rok temu, kiedy byłem spragniony kawałeczka chleba, a wszy mnie gryzły, że nie mogłem sobie dać rady. Dziś to całkiem inaczej, bo nie jestem głodny, a po drugie wszy mnie nie gryzą, tylko żebym mógł pracować. Nie wiem, może na drugi rok to już będę w domu koło swojej ukochanej Maniusi. Nie wiem, jak będzie dalej, ale do tego czasu to się dość już przeszło, tylko żeby to się jak najprędzej skończyło. Zawsze sobie powtarzam, że jestem rzucony na pastwę losu, kiedy utraciłem taki skarb bardzo wielki i trudno mi go odzyskać. Tym skarbem jest moja wioska, rodzina, Matula kochana i Ty Żoneczko, którą tak przyrzekłem kochać aż do samej śmierci. Ja żebym tu był nawet dwadzieścia lat, to domu nie zapomnę.

„Jak wół w jarzmie”

Czas jesienny, to się krzątało koło kartofli i siana, teraz to wszystko jest zapuszczone i nie ma komu robić koło tego i tak się tu wszystko marnuje. Jak przyjdzie niedziela to pójść do kolegi i tam jeden przed drugim się poskarży, co mu najwięcej dokucza. I znów wracam do tego samego miejsca i jak nastanie poniedziałek, to jak ten wół w jarzmie muszę pracować od świtu do nocy i to za darmo, tylko za to, co zjem i czasem dostanę parę papierosów. Teraz się trochę popsuło z wiktem, jest gorzej, a roboty więcej. Ja się kłócę z gospodarzami, że mnie nie należy się tak pracować. Kiedy sobie pomyślę, że w domu też może nie mają kawałka chleba, a ja nie mogę pomóc. Właśnie dostałem 19 października 1940 r. kartkę z domu, bardzo się ucieszyłem, że jednak o mnie nie zapominają. Jaka to radość, kiedy dostanie się kartkę, która jest pisana z domu, to tak jakbym się z Wami witał, czytałem ją już parę razy. Tak samo koledzy są ciekawi, co tam się dzieje, nie ma żadnej tajemnicy, jak jeden dostanie, to wszyscy czytają, nie ma tajemnicy między nami. Tylko jak się przeczyta, to się strasznie tęskni za domem. Nie wiem, jak będzie dalej. Na zimę nie ma stałego miejsca i tak jak nie masz swego domu, to się musisz tułać po obcych progach. Pierw jak było ciepło, to

się gdzie bądź posiedziało, a teraz jak pozimniało, to nie ma się gdzie podziąć, chyba w stajni między końmi albo krowami.

Tydzień temu dostałem list z domu, z którego się dowiedziałem, co mnie zasmuciło, że Teś został podpalony. Ten człowiek już tyle zaznał biedy, tyle już przechodził w swoim życiu i dalej się musi męczyć na tym świecie. Ja jednak miałem przecucie, czy tam się zastanie wszystko w porządku, że tam się wszystko spaliło i tak się stało. To można tylko „podziękować” tym sąsiadom, którzy mieszkali w pobliżu i tak się zemścili. Nie chciałbym być w skórze swego Teścia i tyle przechodzić, co on w swym życiu. Mnie się zdaje, że ja się dość nabiedowałem, ale jak pomyślę sobie, że nie mogę pomóc, bo jestem oddalony od swoich ludzi i od swego domu, to mi smutno.

Dnia pierwszego listopada przypada Wszystkich Świętych, kiedy ja mówię swemu bauerowi, że dziś jest wielkie święto, to on mi mówi, że i tak ja za dużo świętuję. I tak musiałem iść w pole kopać jamy na buraki, zaś po obiedzie pojechaliśmy w pole siał pszenicę. Pomyślałem sobie: żebyś nie doczekał jej pozbierać. Kiedy dziś ludzie się modlą na cmentarzach za dusze zmarłych, a ten jak wół w jarzmie i zawsze mu brakuje czasu. Wiem moja droga Maniu, żeś dzisiaj się modliłaś za dusze zmarłej swej Matki w tamtym roku. To może zmówiłaś pacierz i za mnie, boś nie wiedziała, czy ja żyję. Dziś to wiesz, że ja jestem przy zdrowiu i tylko oczekujesz tego dnia, kiedy ja wrócę, może w przyszłym roku, to już pójdziemy oboje razem i tylko będę wspominał swoje przejścia, jakie przechodziłem w niewoli. Na drugi dzień otrzymałem list i dwie kartki z domu, które były pisane – list 14 sierpnia 1940, kartki – jedna 15 sierpnia, a druga 26 sierpnia 1940 roku. Czytałem je z wielkim zachwytem.

Co do mnie, to jestem zdrow, dzięki Bogu, i tak jak mogę, się obchodzę, że od rana do wieczora o nic się nie dba, tylko ażeby się najeść i zapalić. Wstaję rano o godzinie piątej i już idę do bauera, tam się najpierw robi obrządek koło bydła i na śniadanie o godzinie szóstej. Zaraz się jedzie w pole, zajędzie się to czasem – nie ma jeszcze dnia i tak się tu używa rozkoszy. Dostaje się dziennie 45 fenigów w bonach, tak że nie można nic kupić i tak sobie pomyślałem, za co tu się tak męczę. Ale trafiło mi się kupić mały łańcuszek i mały krzyżyk na szyję na pamiątkę, jakbym kiedyś wrócił do domu, żebym popatrzył i przypomniał sobie, skąd on pochodzi. To, co z domu zabrałem to się wszystko zniszczyło, tylko jeden medalik, ten, któryś mi założyła na szyję. Bardzo je szanuję, abym ich nie stracił i sobie przyrzekłem, że się ze mną nie rozstaną. Chyba, że w domu je komuś podaruję, powiem, jakie odbyły pielgrzymki wraz ze mną w dalekim świecie.

Dnia 29 listopada 1940 roku otrzymałem list od Tadzia, że tak samo bieduje, jak ja i się martwi tylko, ażeby nie przepadły mu jego papiery, które by mu się kiedyś przydały. Jemu posyła narzeczona pakunki z Płocka, on to zawsze jakoś kombinuje, aby mu było lepiej. Ja tego nie wymagam z domu, raz, że to jest daleko, a drugi, że nie wiem, jakie tam jest życie, może tak samo są żądni wszystkiego, jak ja. Co do

mnie, to tylko ażeby nie był głodny i się za bardzo nie narobił. I tak się pcha stale naprzód, tylko że nie można doczekać się tego końca i zwolnienia do domu. Latem jak było, to było, ale zima to dokuczy. To nie jest jak w domu, czasem się namarźnie, ale wieczorem zawsze w cieple posiedział, a tu nie, bo trzeba przez dzień pracować, a na noc iść spać do takiej szopy, w której kiedyś odbywały się zabawy i przedstawienia.

Święta Bożego Narodzenia 1940 r.

Jest 1 grudnia 1940 r. – pierwsza niedziela adwentowa. W domu to się wstawało raniutko i szło do kościoła na roraty, a tu musiałem pójść na stację i ładować buraki na wagon. Dopiero o godzinie drugiej po południu ogoliłem się i miałem chwilę czasu posiedzieć z kolegami i porozmawiać o swojej biedzie, a nazajutrz znów jak ten wół w jarzmie.

I tak zbliżają się drugie święta Bożego Narodzenia w niewoli. Jest mi bardzo smutno, kiedy zajdzie mowa o świętach, to o mało co nie płacę z żalu. Tak i dzisiaj jest święto Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marii Panny i dziś są Maniu Twoje imieniny. Napisałem list do Ciebie i Ci tam wieszczę wszystkiego dobrego i prędkiego mojego powrotu do domu i tak samo Wesołych Świąt. Nie wiem, kiedy go tam dostaniecie, ale w każdym razie zanotuję sobie w moim pamiętniku, może kiedyś się zapomni, to się tam popatrzy i przypomni kiedy to się działo.

Tu nas spędzili jak bydło i jest nas tu 76. Wieczorem jak się poschodzimy, to jedni przeważnie rozmawiają, inni grają w karty, a inni na mandolinach i harmonijkach i tak kto jak może, swoją biedę pocieszy. Jak przyjdzie niedziela, to cały warsztat – są sami krawcy i szewcy, i robi się porządki w salach.

I tak doczekałem się świąt Bożego Narodzenia. W Wigilię z rana wywoziłem gnój na pole, po obiedzie myłem w piwnicy beczki po winie, dopiero wpół do szóstej zacząłem robić porządek koło bydła i kiedy uprzątnąłem, to zawołano mnie na kolację. Kiedy się ogoliłem i obmyłem, dostałem na kolację kartofle w łupinach i trochę skwarków. Spodziewałem się czegoś lepszego. Kiedy to zobaczyłem, to zaraz stanęły mi przed oczyma dom i moja rodzina. Nic nie mówiłem, tylko mi łzy potoczyły się z oczu. Wyjąłem chusteczkę i się poobcierałem, jeść musiałem, bo dokuczał mi głód. Po kolacji zawołała mnie stara do pokoju i pokazała choinkę. Ta chwila była dla mnie bardzo przykra. Myślałem o tym, jak tam w domu zasiadali przy stole do kolacji i mój Ojczym brał do ręki opłatek i łamał się najpierw z Matką, a później ze mną, a dzisiaj mnie tam nie ma. Wiem na pewno i tak jakbym widział, jak tam w domu wszyscy zalewają się łzami. Kiedy odchodziłem do lagru, to mi stara dała prezent – trochę ciastek, parę jabłek i dwie paczki tytoniu. Kiedy przyszedłem do lagru, tam już koledzy na mnie czekali i tam Franiu Zmora częstuje mnie swoimi ciasteczkami. Wziąłem jedno i zacząłem się dzielić ze swoimi kolegami – Michałem²⁹

²⁹ Na podstawie pozostałych fotografii z okresu powojennego można przyjąć, że chodzi o Michała Zatylnego.

i Franiem, i myśmy sobie życzyli, aby w przyszłym roku każdy połamał się ze swoją rodziną, a do kolegów tylko napisał kartkę „Wesołych Świąt”.

Na drugi dzień raniutko poszedłem do swego bauera, zrobiłem porządek koło bydła, zjadłem śniadanie i tak się pokręciłem do obiadu. Po obiedzie poszedłem do lagru, tam trochę graliśmy w karty, a później przynieśli trochę piwa i wina, ciastek, jabłek i chleba, tośmy się zabawili i tak odprawili Świąta. Składaliśmy sobie wzajemnie życzenia, pomimo tego, że każdy jest oddalony od swojej rodziny, to tu musieliśmy być jak bracia, bo wszyscy pokutujemy za Ojczyznę, a że tu jesteśmy musimy „podziękować” naszym dowódcom.

Wieczorem poszedłem znów do bauera, tam zrobiłem obrządek wieczorny, zjadłem kolację i dostałem flaszkę wina. Po drodze, jak wracałem do lagru, to poszedłem jeszcze do kolegi Zmory z Choczajem [?], tam nas trochę ugościli, potraktowali nas winem i ciastkami. Potem wróciliśmy do lagru, a tam koledzy czekali na nas z piwem i winem. Później śpiewaliśmy kolędy i zaczęliśmy grać na organkach. Jedni śpiewali, inni tańczyli i tak prawie do godziny jedenastej, później wszyscy ułożyli się do spania.

Na drugi dzień rano jak zwykle robota koło bydła, a moi gospodarze – stary naprawiał drzwi do stajni, a stara to robiła pranie. Tak stałem i patrzyłem i pomyślałem sobie, co wart człowiek bez czci i wiary. Taki człowiek niczym się nie zadowoli, nigdy nie ma na nic czasu i tak żyje jak ten wół, tylko żeby zjadł i robił, nie myśli o tym, co będzie potem. Kiedy z rana dzwonią do kościoła, to oni wtedy mają najwięcej roboty i tylko się śmieją, że głupi są ci, którzy idą do kościoła. Z całego tygodnia ściągają robotę na niedzielę i święta. Tak się pokręciłem aż do obiadu, po obiedzie poszedłem znów do obozu, tam znów kolędy i tak zakończyły się nasze Świąta i tak czeka się dalej.

Po Świątach, to mało nie zwariowałem, zacząłem myśleć o domu i nie mogłem sobie znaleźć zadowolenia. Pokłóciłem się z bauerem i kto wie, gdyby się nie ustąpił, to bym go przebił widłami, tak byłem zdenerwowany.

Kolejny rok w niewoli

Z soboty na niedzielę śniło mi się, że przyszedłem do domu w nocy z Władkiem – krawcem, próbuję otworzyć drzwi do komórki – są zamknięte, zacząłem mówić po niemiecku i nikt się nie odzywa. Nie wiem, czy tam kto o mnie myśli, a może zapomnieli, a ja nie mogę porozumieć się z domen. Stale ta moja głowa jest nabita tak, że czasem co innego mówi, a co innego robi. Ale koledzy stale się pocieszają, że w 1941 r. to się wszystko skończy. Niczego nie pragnę, tylko żebym wrócił do swoich rodzinnych stron i do swojej Żoneczki i tam żebym mógł głowę położyć na miejscu do tego przeznaczonym.

Kiedy jestem oddalony od domu około trzech tysięcy kilometrów, kończę pisanie w roku 1940 i zaczynam pisać w roku 1941. Może on będzie lepszy i weselszy i będę

mógł Wam przeczytać moje wszystkie przejścia, co przechodziłem i co widziałem na świecie.

Na zakończenie starego roku dzwonią w kościele, a tu nikt się nie zbiera do kościoła. Kiedy się pytam mojej bauerki, to ona odpowiada, że to się odprawia nabożeństwo, a kiedy pytam dlaczego nie idzie, to odpowiada, że nie ma czasu. Stale się grzebie w tym gnoju, a stary to poszedł po obiedzie do knajpy. Wieczorem poszedłem do lagru, tam się zebrało kilku, trochę popili, kiedy się położyłem spać, strasznie bolała mnie głowa, inni śpiewali prawie całą noc.

Kiedy wstałem, koledzy powinszowali mi Nowego Roku i szczęśliwego powrotu do domu. Tak już upłynęło 16 miesięcy, kiedy opuściłem swój dom rodzinny i nie ma widoków, kiedy temu wszystkiemu będzie koniec. Tylko nie wiem, co to ma znaczyć, że namawiają, aby się zapisać na robotnika cywilnego i będziemy zwolnieni z niewoli, że każdy będzie mógł pracować u bauera i że mu będzie lepiej. Tego uczynić nie mogę, bo miałbym wyrzuty sumienia, tak by wyglądało jakbym się wyrzekł swojej rodziny, swojej żony, swego miejsca rodzinnego. Tak zacząłem z Nowym Rokiem się nurtować.

„Śnię o domu, Matce i mojej Maniusi”

Dnia 6 stycznia 1941 roku, gdy się rano obudziłem, stał mi przed oczyma dom i Matka i Jadwisia i moja najukochańsza Manusia. Tak mi się śniło, że powróciłem do domu, zastałem tylko samą Matkę. Bardzo się ucieszyła i zaczęła wypytwać, gdzie tak długo byłem. Ja się zacząłem pytać, gdzie jest Mania, a Mama mi mówi, że poszła w pole zrywać buraki, zaraz wróci i tak się stało. Kiedy wróciła do domu z Jadwisią zaraz pocałowałem ją w rękę, a ona mi się rzuciła na szyję i zaczęła płakać. Jak się przebudziłem, zacząłem o tym długo myśleć, co to ma znaczyć, czy dostanę z domu list, czy może otrzymali ode mnie, czy jest jakaś zmiana. Taki sen to się zapisuje i zaznacza daty, żeby nie zapomnieć. Wspomniałem też, co było dwa lata temu, jakie miałem zamiary i co robiłem i jak się zabierałem za nowe życie, jakie plany układałem. To, czego pragnąłem, to dostałem, ten skarb nieoceniony, tylko za prędko się z nim rozstałem. Jak wielki żal i smutek zapanował w naszych sercach, tak jakby nastąpiła najciemniejsza noc i nie widać końca, kiedy by się to nam skończyło.

Kiedy piszę do domu, to z żalu o mało co mi serce nie pęknie. Gdybym chciał opisać wszystko, to bym spisał arkusze papieru, tylko jest zabronione, nie dopuszczają do tego. Jak przyjdzie niedziela, to się listy pisze, a jak nie ma listów, to się człowiek kręci. Zimno, nie ma się gdzie zagrzać, to kładzie się do łóżka. Teraz nie ma takiej roboty, to muszę chodzić do czyszczenia konia i krów. Mróz sięga prawie 14 stopni, to trzeba się ruszać, ażeby nie zmarznąć. Tego mi było za dużo, zrobiłem się chory i z rana nie poszedłem do bauera, tylko zostałem w łóżku do godziny dziesiątej. Przysłali mi śniadanie i obiad, zjadłem ze smakiem i teraz mogłem poleżeć do

wieczora. Wieczorem znów kolacja, zaś na drugi dzień z rana poszedłem, to zaraz się pytali czym zdrów, to trochę pokręciłem się ze wszystkimi.

W najbliższą niedzielę miała być Msza święta dla niewolników, to mu mówiłem, że pójde na mszę, to był zły woli, to się trochę położył. Nagadałem mu głupstw i poszedłem, kiedy tam nasi śpiewali kolędy. Siadłem sobie z boku i zacząłem płakać, czegoś mi się żal zrobiło, tak sobie pomyślałem, że żyję jak to bydło – ani do kościoła, ani do spowiedzi. Już prawie 17 miesięcy, jak nie byłem u spowiedzi i nie ma widoków, kiedy będzie można pójść, żeby się pojednać z Bogiem.

Tak się spędza czas, mnie się to wszystko naprzykrzyło. Mówią, że człowiek przed śmiercią z niczego nie jest zadowolony, tak samo i ja przeżyłem trzydzieści lat swego życia, bardzo to smutny okres, jaki ja przechodzę, kiedyś Ty Matulo mnie kołysała i nade mną ubolewała i niejedną noc nie przespala, a teraz Ci nie mogę podziękować, tylko u takiego wroga muszę pracować, który nie ma litości, tak jak ten bąk, co siądzie i ssie krew ludzką. Wikt to taki – stale kartofle, nawet z rana do kawy to postawi kartofle, a nie kawałek chleba, o który stale się trzeba upominać. Nie należy to do przyjemności, ale trudno.

W tamtym roku myślałem, że za rok będę w domu, a tymczasem zawiodłem się z myślami, a teraz to jestem całkiem głupi. Tak sobie pomyślałem, że dziś mija dwa lata, kiedy Cię poślubił, żal mi się straszny zrobił. Przysięgałem Ci wiare, posłuszeństwo i uczciwość małżeńską, a teraz osiemnaście miesięcy jak Cię nie widzę, żebym miał przynajmniej zdjęcie, to bym sobie popatrzył, to by mi lżej było. To, któreś mi dała jak odjeżdżałem z domu to straciłem na froncie, tam ratowałem swoje życie, kiedy widziałem jak ludzie giną. To się też tego spodziewałem, ale jakoś Pan Bóg mnie ochronił i wyszedłem cały, tylko jestem strasznie oddalony od domu. Przypominam sobie te dni, co robiłem zaraz po ślubie, a co dzisiaj. Sny mam bardzo często, że jestem w domu, ale stale Ty ode mnie stronisz, nie wiem, co to ma znaczyć. Ja uważam, że jest całkiem przeciwnie – Ciebie jak zostawiłem to jestem Ciebie pewny, tak jakbym z Tobą był, bo wiem, co to znaczy słowo. Ja sobie powiedziałem, że będę się obchodził całkiem skromnie, a po drugie, że poczuwam się jako zaprzysięgły jednej osobie, tego nigdy złamać nie mogę, bo bym miał niepokój na całe życie.

Dnia 2 marca 1941 roku to jest pierwsza niedziela Wielkiego Postu, dzień bardzo śliczny i ciepły. Z rana myłem podłogę w lagrze, później zrobiłem koło siebie porządek i tak przeszło do obiadu. Po obiedzie wróciłem do lagru i tam nie mogłem sobie znaleźć miejsca, kiedy sobie pomyślałem, że to już osiemnaście miesięcy, jak opuściłem dom, i tak się tułam po ludzkich kątach. Tak jak dziś, to bym na pewno poszedł do kościoła na adorację, a tak to muszę jak ten wół spędzać swoje życie. Tamtej nocy miałem taki sen, że byłem na zabawie w Gawlikach, było dość ludzi i tam spotkałem swoją Maniusię, bardzo się cieszyła mną, a ja Jej opowiadał swoje wszystkie przejścia, co robiłem przez ten czas.

„Listy spoza obozu – czasem pocieszają, czasem bardzo zasmucą”

Teraz nastała wiosna, to się więcej uprzykrzy, bo jest więcej roboty, a tu nie ma żadnej folgi, tylko trzeba robić. Czasem to się zdaje, że tego się nie wytrzyma. Parę dni temu otrzymałem list i jedną kartkę. List od Jasia szwagra z niewoli i kartkę od Teścia z Sielca. Jasiu mi pisze, że jest dobrze i wesoło, że pracuje w kuźni, pisze, że jest mu dobrze, ale wspomina, że lepiej by było, gdyby był w domu. Kiedy przeczytałem te listy, to długo zastanawiałem się, jak mu jest wesoło, nie mogłem sobie zdać sprawy, jak to może być, przecież jest tu nas przeszło siedemdziesiąt, są pomiędzy nami tacy, co potrafią wszystko, i jak przyjdzie wieczór, to stale odgrywają koncerty, ale wesołości nie ma u żadnego. Każdy jest zamyślony i niezadowolony ze swego pobytu na obczyźnie.

Tata mnie pociesza, że jest zdrow i stale odwiedza Manię, to jednak mnie cieszy. Zaraz odpisałem na list i prosiłem, ażeby opiekował się Maniusią.

Dzisiaj jest już 23 marca 1941 r. Tak już tu jestem na tym miejscu [w Guntersblum] prawie dziewięć miesięcy. Tak stale koledzy wnioskuje, co to będzie i się pocieszają, że to się skończy w tym roku i powrócimy do swoich rodzin. Jak się dostanie z domu jakąś wiadomość, to się czasami pocieszy, a czasem zasmuci. Tak i ja otrzymałem list z domu, to jest 30 marca, który był pisany 10 stycznia, to nie mogłem się domyśleć. Piszesz mi o sobie, że dajesz radę, ale nie wiem czy tak jest jak piszesz, bo inni to piszą, że jest źle. Podajesz mi adres Jasia, on pierw do mnie napisał, to mu zaraz odpisałem, tylko że mi się zdaje, że on podpisał jako cywil, to nie wiem, co mu przyszło do głowy. Ja tego zrobić nie mogę, przecież ślubowałem jednej Ojczyźnie, tej przysięgi złamać nie mogę, to nie jest przymusowe, tylko dobrowolne. Dwóm Bogom służyć nie można, trzeba rozumieć, co to jest dane słowo, to wszystko polega na słowie. Ja bym tego nigdy nie zrobił, zresztą czeka się dalej, temu wszystkiemu musi przyjść koniec i w naszych sercach też się rozweseli i będziemy zwolnieni do swoich domów, rodzin, matek i żoneczek, to się nam wtedy oczy otworzą i tylko się wspomni swoje przejścia. Na tym zakończę swoje pisanie, co będzie dalej, to się znów napisze.

Tak się doczekałem Świąt Wielkanocnych. Z rana, kiedy usłyszałem głos dzwonów, to łzy napłynęły mi do oczu, bo w ten dzień zawsze spieszyłem się na Rezurekcję do kościoła, a dziś muszę tak jak ten ptaszek siedzieć w klatce, ale z losem się pogodziłem. Po obiedzie poszedłem do baraku, tam się trochę zapomniało o wszystkim, zaś w drugi dzień Świąt, poprzychodzili do mnie koledzy do domu tego bauera i powiadają, że dziś jest dużo listów, tak i ja się spieszyłem otrzymać coś nowego z domu. Ale jednak dowiedziałem się bardzo smutną nowinę, tak że zaraz zapłakałem, kiedy się dowiedziałem, że dziś tam się dzielą jajkiem święconym i tylko o nas wspominają, żebyśmy wrócili szczęśliwie do domu, a tu całkiem inaczej.

Tadzio tak mnie zasmucił, pisze do mnie: „Nie martw się, nasza Kochana Mama opuściła nas na zawsze, zmarła po Bożym Narodzeniu”. Smutek zapanował w moim

sercu, kiedy zostałem sierotą raz na zawsze, kiedy się tego nigdy nie spodziewałem, zawsze prędzej rachowałem, że Dziadka³⁰ już nie zastanę, a tu całkiem inaczej, to mnie jeszcze bardziej dobiło. Tak Ojca nie pamiętam i nie wiem, gdzie jest pochowany, tak i teraz najukochańszą Matulę też utraciłem i nie wiem, czy będę mógł powrócić na grób i się pomodlić za duszę Zmarłej, za to, że nas wychowała. Kiedy dziś są Święta, to w sercu moim jest wielka żaloba, którą nigdy zapomnieć nie mogę. W końcu stycznia lub na początku lutego to miałem sen, którego nie mogłem zbadać. Śniło mi się, że po wodzie płynęły duże dwa czółna i były porozwieszane dwie duże czarne flagi, to się spodziewałem jakiejś choroby, a tu całkiem co innego.

Tadzio to pisze, że żałuje, że go kule oszczędziły na froncie, lepiej by było, aby zginął, aniżeli miał usłyszeć taką smutną wiadomość. Ja tak sobie myślę, że bym nie był żonaty, to bym nawet nie wracał do domu, ale tylko mi szkoda mojej kochanej Maniusi, co ona tam będzie robić, zmarnuje się ze wszystkim, została tam całkiem cudza. Teraz się tylko spodziewam z domu wiadomości, kiedy Matka rozstała się ze światem i udała się na spoczynek wieczny. Jednak Pan Bóg nie pozwolił doczekać, ażeby się mogła pożegnać ze swoimi synami, za którymi tak ubolewała i niejedną łzę wylała. Kiedy ostatni raz pożegnałem się ze swoją Matulą 28 sierpnia 1939 roku, zawsze mi się śniła i się mną cieszyła, a ja Jej opowiadał swoje przejścia, ale to niestety, teraz już straciłem nadzieję na wszystko.

Obrachowałem wszystkie moje listy, które otrzymałem z domu i od Tadzia, to najsmutniejsza jest ta kartka trzynasta, którą otrzymałem na Święta od Tadzia. Fatalna liczba, chciałbym coś odpisać do domu, ale nie mam listu. To 19 kwietnia 1941 r.

Zaraz następnego dnia otrzymałem kartkę od Wujcia i pisze mi to samo, że zostaliśmy sierotami i opisał mi, jaki matka zrobiła testament. Co z tego, kiedy ja już swoimi oczyma nie będę oglądał swojej kochanej Matuli. Nie byliśmy godni pożegnać się z nią, kiedy się wybierała na spoczynek wieczny. Wiem o tym bardzo dobrze, że z żalem rozstała się z tym światem, kiedy zostawiając takie małe dzieci, jak na przykład taka Genia, tak samo i Władziu, kiedy oni potrzebują jak najwięcej pomocy matki, a teraz zostali sierotami. Teraz tylko żeby Ojciec chciał się nimi zaopiekować, tak jak należy.

Kochana Maniusiu, kiedy Ci matka umarła, to widziałem, jakżeś ubolewała, a cóż ja mam powiedzieć, kiedy Ojca wcale nie pamiętam. Tak samo i teraz jestem oddalony od domu tak daleko, już prawie blisko trzy miesiące, jak dowiedziałem się, że Matki już nie mam, to może serce pęknąć z żalu. Nie widziałem Matki, jak leżała na katafalku, ale stoi mi przed oczyma to wszystko, jak tam ubolewali nad Jej ciałem, ile też wylali ci, co byli w domu, jak Mania, Jadwiśka, Władzio i Gienia³¹. Wiem o tym dobrze, że kiedy Tadziu się dowiedział, to też zapłakał, tak samo jak ja, tylko o wiele później. Teraz oczekuję tylko listu z domu, to się dowiem czegoś

30 Chodzi o Józefa Kisilewicza.

31 Jadwiga, Władysław i Eugenia Hołubowie – przyrodnie rodzeństwo Stanisława i Tadeusza.

więcej. Prawie blisko pół roku temu kiedy moja Matula kochana już z Bogiem spoczywa, a jednak z domu nie raczą mnie zawiadomić, nie wiem dlaczego, czy to dla mnie chcą sprawić niespodziankę, bardzo to by była smutna wiadomość. Dziś, kiedy piszę list z bólem serca do Tadzia i proszę go, aby coś napisał do domu i tak samo kartki do ciebie Maniusiu, żebyś cokolwiek napisała do mnie.

Ty może sobie myślisz, że mnie się świetnie powodzi i całkiem zapomniałem o Tobie. A ja w nocy wychodzę do roboty i w nocy wracam i stale zajadam kartofle – rano, na obiad i wieczór, i trudno ich zadowolić. Dziś, kiedy rano szedłem do swego baraku, około godziny dziesiątej koło kościoła słyszę, jak grają organy, to aż łzy mi się potoczyły, że ja tam nie mogę wejść i wysłuchać Mszy świętej. Tak samo patrzę na te drzewa, kiedy się tak ślicznie porozwijały, to sobie pomyślałem, że tak było w pierwszych dniach po ślubie, kiedy nie umiałem nacieszyć się Tobą. A dzisiaj to tak, jak w największym gorącu spalony i pozostają tylko suche łodygi, tak samo w moim sercu się dzieje. Kiedy wieczorem kładę się spać, to zawsze pomyślę, co tam się dzieje w domu i zawsze mam nadzieję, że kiedyś zobaczę swoje strony. Z tego kłopotu i zmartwienia to mi włosy z głowy wylazły, ale i to nie pomoże, trzeba czekać dalej, jeśli się tyle przeszło, to i może się dalej wytrzymać. Tak mija dzień za dniem, tydzień za tygodniem, mija już prawie dwa lata.

27 czerwca, przypomniałem sobie, że to mija pół roku jak w naszym domu zawitał wielki smutek, a to dlatego, że nasza kochana Matula nas opuściła raz na zawsze, kiedy całą rodzinę tak osierociła. Trudno, rozkaz Boży i nam też tak samo kiedyś przyjdzie. Dzisiaj Matula spoczywa po trudach i kłopotach i tylko spogląda na naszą nieszczęśliwą dolę i nie może nam pomóc.

Dowiedziałem się, że tam w moich stronach znów się rozpoczęła nowa wojna³², to znów dla mnie nowy kłopot, bo wiem, co to znaczy. Tak mi stanęło przed oczyma, że wprost jakbym tam był i wszystko widział, kiedy ci wszyscy domownicy znów na nowo muszą się wybierać i tułać po świecie, a to, co się zaoszczędziło przez parę lat, to na pewno pójdzie wszystko z dymem i tylko zostanie kupa gruzu i pełno jam.

Kiedy ty moja kochana Maniusiu piszesz do mnie te listy i kartki to wiem, że ze łzami w oczach i bólem w sercu, a kiedy ja dostaję te parę słów, to tak samo to wszystko odczuwam, jak i Ty dotychczas. Wiem, że jesteś na miejscu, a dzisiaj to nie wiem, co tam porabiasz. Słyszałem, że ci ludzie, którzy tam zamieszkiwali w pobliżu to zostali „usunięci do tyłu”, a Moskale jak się wycofują, to za sobą wszystko niszczą, to wiem, że z Zawonia może nic nie zostało, bo to takie nieszczęśliwe miejsce. Teraz trzeba wziąć pod uwagę moje życie, to chyba można zwariować. Robić tu muszę, jak ten koń, nie ma święta spokojnego i też niedzieli. Na siłach zaczynam osłabiać i nie mam się też komu poskarżyć, ot i takie jest moje życie.

Tak nastąpił lipiec 1941 r. i są straszne upały, prawie dosięgają pięćdziesięciu stopni, że trudno wytrzymać, tylko z rana jest około godziny chłodu. Tak to gorąco

32 Chodzi o agresję Niemiec na Związek Sowiecki 22 VI 1941 r.

już mnie dojadło, że ledwo chodzę. Dzisiaj jest 13 lipca 1941 r., chodziłem z rana do Renu trochę się wykąpać, szło nas dość dużo, jedni się śmieją i rozmawiają o swoich dawnych, młodych latach i tylko są ciekawi, kiedy wrócą do swych domów. Co do mnie, to tak jak już wspomniałem o domu, to jak przyjdzie taka chwila, to łączy się toczy z mych oczu. Tak prawie blisko dwa lata spisywałem „tę książkę, co nastąpi dalej, to się napisze w drugim [notesie], a ten trzeba tylko w poszanowaniu przechować”.